

WYRÓŻNIENIE

Krzysztof Surowiec

„5.50”

Oto historia mojego życia. Banalna, zwykła, przeciętna. Opisana skrupulatnie i dogłębnie. Bez zbędnej ściemy, opisów i nudnych, ckliwych historyjek. Cała prawda. Bez ogródek i fałszu. Odkrywam przed Tobą wszystkie zakamarki duszy, każdy cal mojego wątlego ciała i najintymniejsze wspomnienia, o których wstydziłem się do tej pory mówić. Wiem, że brzmi to banalnie – nic bardziej mylnego. Jeżeli masz ochotę, zobacz niezapisane spisane prostymi słowami. Skonfrontuj swój poukładany świat z moim... pozornie równo poukładanym, co Twój. Czy masz już wszystko? Osiągnąłeś wyznaczone cele? Czujesz się spełniony? Też tak myślałem. Ciągle myślę. Szukam. Poszukuję. I wciąż nie odnajduję. Czego? Zwykłego sensu bycia tu i teraz. Właśnie w tym miejscu, z którego do ciebie piszę. Śmieszne. Wyobrażam sobie, co możesz teraz myśleć, jak się zachowujesz, czytając te słowa, które specjalnie dla Ciebie ubieram w logiczne i składniowe zdania. Czy pijesz kawę? Zagryzasz chipsy? A może dłubiesz w nosie? Wszystko mi jedno. Ważne, byś mnie zrozumiał i poczuł prawdziwe dotknięcie pewnych sytuacji, które mnie spotkały. Nic więcej. Nie chcę Cię pouczać, nie chcę prawić kazań. Nie mam tym bardziej zamiaru być Twoim mentorem, zbawicielem, mesjaszem. Jestem zwykłym, szarym, przeciętnym facetem, który musi się uzewnętrznić. Chcę pokazać innym siebie. Prawdziwego. Szczerego. Muszę to zrobić. Muszę wypluć z siebie wszystko, co zalega w moich żyłach już od dawna. Chcę to wydalić, wyciąć, rozdrapać, zwymiotować pozorami normalności. Zmierzę się z tym. Właśnie teraz. Z Tobą. Przez te kilka chwil bądź moim przyjacielem, którego nigdy nie miałem, któremu nigdy nie opowiedziałem tego, co zaraz przeczytasz. Jestem gotowy. Zaczynam. Oto moja spowiedź...

O 5.50 wyciągnięto mnie z matki, dosłownie. Nie mogła mnie urodzić siłami natury. Zwyczajnie, po prostu... cięcie, klaps, płacz i jestem. Krzysztof. To ten niosący Chrystusa. Nigdy go nie znalazłem. Pytanie, czy On znalazł kiedyś mnie? Czasem tak mi się zdawało. Dorosłość. Jesteś jeszcze? Słuchasz mnie? O 5.50 zacząłem pisać. A skończę, jak myślisz, kiedy? O 5.50 rozpoczęła się moja wędrówka. A Twoja? Jak ona wygląda? Spójrz za siebie. Ja już tam byłem. Przeżyłem to, czego zawsze się bałeś. I oto jestem. Z Tobą. Pójdźmy razem przed siebie. Zmierzymy się z codziennością, z normalnością i wszystkimi odstępstwami od normy. Norma – czy to pojęcie w ogóle coś oznacza? Nie. To puste semantycznie słowo.

Wydmuszka. Taką wydmuszką było moje życie. Niezła metafora. Wyuczyli mnie tego. Zapoznali z tajnikami pisania. Czytasz? Postaraj się zrozumieć. Spójrz pomiędzy wersy. Przypatrz się dobrze. Nawet najmniejsza cząstka może być najbardziej skomplikowanym układem w historii wszechświata. Człowiek. To taka istotka. Krucha i silna jednocześnie. Tak, przybijmy sobie piątkę. Pójdźmy dalej. Odkryjmy karty. Ja zacznę...

„Wspomnienia”

5.50 nad ranem. Moja ulubiona godzina. Wypijam kolejne piwo. Nie wiem, które z kolei. Wszystko mi się miesza. Włączam smutne piosenki – one zawsze mnie uspokajają i poprawiają humor. Dziwne, ale tak już mam. Coś smutnego, dołującego, przygnębiającego, wręcz odzierającego duszę z wszelkiej nadziei. Tylko ból, żal, głęboka rana. Czuję ją coraz bardziej. Czuję rozrywające, pękające serce. Kilka słonych łez spływa po policzku. Kolejny łyk z puszki. Teatralne zachowania. Nominacja do Oscara murowana. Spływający potok z oczu zatrzymuje się na zdjęciach. Nie cyfrowych, lecz starych, pogiętych, podartych fotach. Kolejne uderzenia pianina w ulubionej melodii. Te dźwięki odzierają moją duszę z jestestwa. Nie ma mnie. Odpląnąłem. Jestem nagi. Zupełnie nagi jak pisklę, które dopiero wykluło się ze swojej skorupy. Tak oto po raz kolejny oczyszczam się, by zdobyć siłę i wiarę, by przetrwać kolejny dzień. Mam dość tego życia. Już próbowałem z nim skończyć. Nie udało się. Pamiętam, że zawsze brakowało mi odwagi, aby wykonać ten ostatni ruch, przekroczyć granicę strachu. Chcę jednak tu być. Chcę marzyć i śnić, chcę, by karmiono mnie kłamstwami. Tak, chcę! Błąkam się. Nie wiem, gdzie mam być, kogo pragnąć i po co tu żyć? Nikt mi na te pytania nie odpowiedział. A szukałem, chciałem, błagałem, ba! Modliłem się każdego wieczora!!! Gdzie On jest? Pytam się, gdzie On jest? Ten, który stworzył cały porąbany układ zależności. Gdzie jest Ten, który sprawił, że tu jestem – w tym ciele, w tej duszy, z tymi myślami! Cholera! Nie mogę!... Cisza. Tylko ona może mnie dziś uratować. W tym stanie nie podołam...

Kolejne dźwięki pianina w ukochanej melodii. Następny świat w głowie wita mnie szeroko rozpostartymi wspomnieniami. Kolejne, ente już piwo. Już nie wejdzie mi kolejne. Już nie chcę. Nie ma innej drogi. Inaczej się uduszę, rozdrapię, wyszarpię, zagnębię i zniszczę! Codziennosc znowu mnie rozwalila. Po raz kolejny zdeptała moje serce pragnące czegoś wielkiego. Błazen. Jestem zwykłym błaznem. Pękło. Coś we mnie pękło. Nie mogę pójść z tym dalej. Po prostu nie mogę. Skrzypce. Uwielbiam słuchać dźwięku skrzypiec. Delikatnie, powoli, cichutko... Spazmy, które przeżywam, doprowadzają mnie do paraliżu. Pięć i pół minuty nut, dźwięków, melodii, uczuć, uniesień i upadków. Tak niewiele w tak potężnej sile

świadomości. Ech, wspomnienia. Kotłują się w mej głowie niczym małe cząsteczki objijające się o siebie. W najmniej niespodziewanym momencie ujawniają się, pojawiają, przedstawiają. Oto jestem! Ja! Mały, maluśki, malusieńki. W niebieskich galotach biegam po wsi umorusany od stóp do głów. Oto jestem! Nastoletni! Szukający miłości, buszujący w zbożu! I odtrącony na wieki wieków. Oto jestem! Dorosły. Po prostu zagubiony. Taki oto ja. No właśnie, jaki? Nikt tego nie wie. Jeszcze nikt nie trafił do tej duszy, nie poznał nawet najmniejszej jej cząstki. Nie pokażę. Nie ujawnię. Zatrzymam, schowam i zamknę. Nie dam! Połknę klucz. Nie pozwolę poznać prawdziwego oblicza, bo mnie zniszczą, sponiewierają, oplują. Swoją drogą, nie pierwszy raz. Ale teraz będę mądrzejszy. Będę silniejszy. Ciekawe. Kogo ja oszukuję? Chyba samego siebie. Nigdy się nie zmienię. Ludzie przecież się nie zmieniają. Ciągłe są tacy sami. Przybierają tylko na wadze lub chudną, starzeją się, wszyscy bez wyjątku. I głupieją. Po prostu głupieją. Taka już nasza natura.

Wspomnienia. Znów mnie nachodzą. Tym razem 55 lat życia mojego ojca. To była udreka. Najgorsza rzecz, jaka mogła mnie spotkać. Ojciec. Czy można go nazwać ojcem? Leń, nierób, damski bokser, wyzyskiwacz, kat. Bił, gnębił, poniewierał, zmiatał z powierzchni ziemi, obracał w pył wszystkie pragnienia. Podły człowiek, zwyrodnialec, karaluch. Nigdy mu tego nie zapomnę. Nie miałem okazji, by się odwdzięczyć. Zabrakło mu czasu. Odszedł. Tak po prostu. Z dnia na dzień. Zabili go. Ci sami, z którymi pił do upadłego, okradał biednych i masakrował niewinnych. Piątego maja udał się tam, gdzie zabierają łajdaków i oprawców. Czy jest takie miejsce? Gdzie nie ma już ofiar i krwi upuszczanej z uwielbieniem? Nie ma ran na policzku, złamanych palców, oplutych twarzy, pociętych żył i prętów na plecach? Nie ma zaciśniętej pięści, jednej, potem dwóch i kilkunastu? Nie ma! To wszystko jest przy mnie, na mnie, we mnie. Siedzi głęboko pod skórą. Nie mogę sobie z tym poradzić. Piję, bo nie mogę zapomnieć. Nie potrafię. Staram się, ukrywam, śmieję się jak głupi, ale łzy okazują się silniejsze. Świta. Nadchodzi. Kolejny, beznadziejny, udawany dzień. Tym razem nie odegram roli człowieka. Dziś będę sobą, po prostu sobą. Zdejmę tę maskę. Już nie gram. Nie zagram komedii dla rodziny i znajomych. Niech w końcu się dowiedzą, niech zrozumieją. W końcu z dumą spojrzę sobie w oczy i powiem: „To nie moja wina!”.

„Anioł ze śmietnika”

5,5 cm zabrakło, by nie było mnie już na tym świecie, bym odszedł na zawsze, by ktoś postawił na moim grobie idiotyczny wazonik ze sztucznymi kwiatami po 3zł za sztukę lub tani znicz zakupiony uprzednio w dyskoncie i to w dodatku raz w roku, na wszystkich świętych. Niestety, tak to teraz działa. Nie ma lekko. Nikt już nie przychodzi na cmentarz, by

powspominać, pożalić się lub poszczycić rewelacyjnym osiągnięciem, po prostu ze sobą pogadać. Tak. Myślę, że zmarli słyszą nasze słowa, czują je, odczuwają każdą wydaną z trzewi emocję. Tak z pewnością jest. A jeżeli się myślę, to na pewno kiedyś się o tym przekonam. I o mały włos nie przekonałbym się tego feralnego dnia. Nie był to wcale piątek trzynastego. Przeciwnie. Piękny, słoneczny, letni dzień. Szedłem chodnikiem wśród tłumu. Zamyśliłem się. Chyba tak było albo po prostu się zagapiłem. Sam już nie wiem, co ja takiego zrobiłem. Po prostu wszedłem na pasy na czerwonym świetle. Usłyszałem tylko pisk opon, głośne dźwięki klaksonów i pociągnięcie za koszulkę. Nie wiem, kto mnie uratował. Nikt się nie przyznał. Dziękowałem wszystkim wobec. Jednak niewielu to w ogóle obeszło. Przeszli na zielonym na drugą stronę i o tym zdarzeniu zapomnieli. Nie było tematu. Jakby nic w ogóle się nie wydarzyło. Nie byłoby mnie tutaj. Wąchałbym kwiatki od spodu. Z pewnością śliczne i kolorowe, jednak od spodu – mało przyjemna perspektywa. Pomyślałem sobie, że chyba anioł stróż nie miał dziś nic ciekawego do roboty, dlatego szedł akurat za mną krok w krok. Spojrzałem na swoją koszulkę. Rozdarta. Poszarpana. Zakrwawiona ręka. Jakby jakiś zwierzak rozszarpał mnie w ferworze walki o byt. Oczywiście przesadzam, a jedynie obrazuję moje zaskoczenie tym szczegółem. Nie wiem, do tej pory nie wiem, kto mnie ocalił. Może faktycznie to anioł stróż, na którym wieszałem ostatnie psy za to i za tamto. Przypomniał się, że jest... Po chwili dostrzegłem staruszkę w długim płaszczu i z torba pełną puszek po piwie. Grzebała w koszu. Podeszedłem do niej. Spojrzałem na jej dłonie – stare, spracowane i... zakrwawione. Odpadł jej paznokieć. Dwa paznokcie. I wtedy już wiedziałem, kto ocalił moje nędzne życie – ta, która zna je doskonale od podszewki. Podeszedłem jeszcze bliżej, podałem jej dłoń, podziękowałem uśmiechem i czułym, zatroskanym spojrzeniem. Odszedłem. Nie odwróciłem się. Nie wiem, czy zorientowała się, że włożyłem jej do kieszeni płaszcza wszystkie pieniądze, które miałem w portfelu. Nie było tego wiele, ale dałem, co miałem. Za ocalenie mojego życia. Kilkadziesiąt złotych. Może w ten sposób przyczynię się, że w tym dniu staruszka zje na kolację coś innego niż najtańszy „biedronkowy” pasztet. Mam taką nadzieję. I to bardzo głęboką. Dziwne, w tak piękny, letni dzień chodzić w płaszczu. A może właśnie pod nim skrywała swoje olbrzymie białe jak śnieg skrzydła? A co z aureolą? W torbie z puszkami? A może był to anioł na emeryturze? Może odrzucony, wyrzucony ze stanu anielskiego? Jedno jest pewne – o takich historiach słyszy się w telewizji lub czyta w Internecie. Nie każdy jednak chce być celebrytą, żądać zapłaty za uratowanie życia. Kolejny raz los dał mi szansę. Pytanie, czy dobrze ją wykorzystam. Przynajmniej się postaram. Taki mam zamiar. Będę niósł do przodu swój ziemski krzyż pański zбитy z trosk, zmartwień i pozorów szczęścia.

„Zbędne skóry tłuszcz”

5,5 kg. Tyle postanowiłem schudnąć w ciągu miesiąca, by dobrze wyglądać na plaży. Jest maj, więc może się wyrobię. Bo przecież znowu będę zmuszony podziwiać te wszystkie piękne i wydekoltowane ciała, ba, nagie, nagusieńkie, wysportowane, naprężone i napakowane. Załamka. Totalna załamka. Wiszący, odstający brzuch. Mizerne mięśnie. Tak wygląda podstarzały lowelas, stary Latynos, który kiedyś uganiał się za spódniczkami, prawdziwy „pies na baby”, którego ulubionym songiem było: „Trzęś tyłkiem mała jakbyś płonęła cała”. Stare czasy. Ale cóż, trzeba zmierzyć się z czymś zupełnie nowym. I nie chodzi tu tylko o wiek, zbędne kilogramy, ale przede wszystkim o porządek w psychicznym nastawieniu do świata, plugawej rzeczywistości. Nie! Kogo ja do cholery oszukuję! Starzeję się! Szmacę swoje cielsko jeszcze bardziej tłuszczem, frytkami, hamburgerami, alkoholem, słodyczami, parówkami, ogromnym nakładem chemicznego utłuszczacza skórniego! I co z tego?! Mam sobie strzelić w łeb? Skończyć z (pseudo)problemami podstarzałego chłopaka? Gdzieś przecież głęboko jest we mnie ten młody, aktywny, wysportowany, wyćwiczony w każdym ruchu i geście seksowny młodzieniec. Jest? Czy aby na pewno był tam kiedyś? Pamiętam, że w wieku 50 lat mój znajomy przechodził kryzys wieku średniego albo nieco bardziej niż średniego. Trochę późno, ale mężczyźni miewają go w różnym wieku. Mnie też to na pewno czeka. Już odliczam godziny, zmarszczki na czole, patrzę na zmęczone oczy, spracowane ręce, odstający brzuch i zakola nad czołem. Niestety, kryzys wieku średniego dopadnie mnie pewnie jeszcze szybciej niż myślę. Zbyt intensywnie żyję, żeby było inaczej. Po prostu nie ma takiej opcji. Nie pogodzę się z upływającym czasem. Już się nie godzę. Ale z drugiej strony, co mogę zrobić? Nic. Nie cofnę lat, nie odmłodzę się na siłę. Mogę jedynie zaakceptować stan rzeczy. Co do Wojtka, to naprawdę źle to przeszedł. Próbował na siłowni, w młodzieżowych sklepach odzieżowych i w burdelu. Nigdzie mu nie wyszło. Nawet stosowanie kremów odmładzających, rozświetlających, spalających wszechobecny tłuszcz nie wyszło mu na dobre. Chłopak się załamał. Zdradzał żonę na prawo i lewo, dzieci się od niego odwróciły. Standard. Kolejna milionowa historia oglądana w tanim paradokumencie widzianym w telewizji na dowolnym kanale. Ale nie o to chodzi. Zaciekawiał mnie jeden malutki szczegół – Wojtek sam był szczęśliwy. Wcale nie potrzebował żony i dzieci do pełnego zadowolenia. Został sam, w wynajmowanej kawalerce. I było mu naprawdę cholernie

dobrze. Nie sprzątał, nie prasował, nie gotował obiadów. Oglądał niemieckie pornole, pił hektolitry piwa i chodził na wszystkie możliwe imprezy. Rano leczył kaca, ogarniał się i biegł do pracy. Luzik. Wytrzymał tak pół roku. Potem przyszedł kryzys i zadyszka. Coraz mniej kasy, jakiś problem z przyrodzeniem i wątroba. Zmienił się. Jeszcze bardziej postarzał, osiwiiał. I chyba zrozumiał swój błąd. Chciał się ponownie wyszaleć. Wyjść ze schematu – dom, praca, dom, rutyna, rutyna, rutyna. Zabrakło fajerwerków, trochę innego spojrzenia na zastaną rzeczywistość. Ale Mariola nie dała mu szans na powrót. Kontakt z Wojtkiem się urwał. Już nigdy się nie spotkaliśmy. Naszą pożegnalną imprezą były imieniny u Anki. Pamiętam je dobrze. Tam stało się coś dla mnie ważnego – poznałem smak ust innych niż usta mojej żony. Totalne szaleństwo. Po kilku latach znalazłem nekrolog o Wojtku. Przykre. Nawet mnie to jakoś nie zdziwiło. Po prostu przyjąłem do wiadomości. Przelknąłem informację o jego śmierci i odwróciłem stronę gazety na sport. Tam znalazłem ciekawsze dla mnie tego dnia informacje.

„Śmierć”

O 5.50 przysła śmierć. Nieoczekiwanie. Niepostrzeżenie. Ogromna, złota kosa i piękny uśmiech czarnych od zgnilizny zębów. Udusiłem się. Byłem siny. Wyłupiaste oczy. Grymas strachu i przerażenia, którego nikt nigdy nie był świadkiem... Spojrzałem na zegarek. 5.50. Pora wstawać do pracy. Ostatnio dopadają mnie dziwne sny, jakieś iluzje, omamy. Dziwne to wszystko. Jakbym miał rozdwojenie jaźni. A może to początki schizofrenii? Zaczynam się bać, bo nie rozumiem pewnym stanów mojego umysłu, o który tak bardzo staram się dbać. Dużo czytam, nie oglądam głupich filmów, wietrzę głowę na balkonie. I piję. Coraz więcej piję. Ale przecież to nic złego? No bo co mam robić wieczorem? Człowiek w końcu nie kaktus... Ale chyba kaktusy też czasem mają dosyć? Nie zmagazynują wszystkich pokładów święconej od normalności wody. Żenada. Stabilizacja – pieprzone życie człowieka skazanego na nudne i pozornie szczęśliwe życie. Chyba wolę już targnąć się na egzystencję. Skończyć z tym teatralnym odchyłem. Po co tu w ogóle jestem? Co mogę jeszcze zrobić? Jedyne, co by mi teraz profesjonalnie wyszło, to zabicie śmierci. Zarżnąłbym ją tak profesjonalnie, że nawet nie zdążyłaby się odwrócić lub mrugnąć wyłupiastym oczyskiem. Dobrze sobie. Ciach, bach i po problemie. Nie ma, odeszła. Od teraz już nikt nigdzie nie zemrze, nie odejdzie na inny świat. Jestem cudotwórcą! Wspaniałym twórcą! Kreatorem! Mistrzem! Jestem śmiercią! Śmiercią samego siebie! Co za wstyd! Hańba! Paraliż serca, rozumu, duszy. Brak natchnienia. Zabiłem śmierć, zabiłem siebie, zabiłem swoje życie. Straciłem ostatnią szansę na wyzwolenie! Ale ja nie chcę tak żyć! Wiem, że to boli, ale niech ktoś da mi szansę w końcu

poczuć coś, coś, no właśnie – co? Czego mi brakuje? Nie wiem. I nawet nie próbuję się dowiedzieć. Zabijam. Zwyczajnie zabijam tę stronę głupotami tego drugiego, który przepycha pierwszego na tylne siedzenie mojej choroby. Tak już mam. Ukochana schizunia.